NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata w Polsce: Kwartalnie 148·20 Marek, Półrocznie 296·40 Mk. Rocznie 592·80 Mrk. Ameryka: 8 dolarów rocznie. Numer pojedynczy 15 centimów.

Zmiana adresu 1 Markę.

Ceny ogłoszeń: za wiersz petitowy jednoszpaltowy na ostatniej stronie 3 Mp., na miejscu specyalnie zastrzeżonem Mp. 4·—, za wiersz nonpareillowy, jednoszpaltowy 6 Mp., za wiersz petitowy w części redakcyjnej 15 Mp.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW III. ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny). Telefon Nr. 472.

Naczelny i odpowiedzialny redaktor: **Julian Bartoszewicz.**

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Legionów 21.

W Warszawie do nabycia wszędzie. **„Promień", Łódz, Piotrkowska 81.**

Należytość pocztowa opłacona ryczałtem. Numer pojedynczy 12 Marek.

Rok XVIII. Kraków, 26 lutego 1921. Nr. 9

Pogromy komisarzy sowieckich na Ukrainie



Pięciu komisarzy bolszewickich zamordowanych w okrutny sposób przez małoruską ludność w okolicach Baru.

Pogromy komisarzy sowieckich na Ukrainie.

(Do illustracyi tytułowej).

Sowiecka Rosya zgadza się na samodzielność Ukrainy, ale tylko pod tym warunkiem, jeżeli ustrój jej wewnętrzny oparty będzie na zasadach komunistycznych. Taką sowiecką Ukrainę reprezentuje przy tronie „czerwonych carów" Rakowski, jej imieniem



Pierwszy Zjazd b. więźniów stanu w Marmarosz Sziget: Powitanie jenerała Hallera na lwowskim dw. kolej.

występował podczas konferencyi pokojowej w Rydze Mannilskij, obaj osobniki bardzo niewyraźne, jak wogóle znaczna większość główaych mentorów nowego ruchu.

Po rozgromieniu Wrangla i Petlury otwarło się przed rządem sowieckim wolne pole działania, zapowiada też na tych ziemiach, które stanowią Ukrainę, Podole, Wołyń i Besarabię, ustrój komunistyczny, mający być podstawą przyszłego organizmu państwowego, wchodzącego w skład nowej Rosyi, czy też politycznie wyodrębnionego.

Komisarze bolszewiccy, którzy od Zbrucza począwszy, aż poza Dnieprem skończywszy, budują podwaliny nowego porządku, to postrach, a zarazem przedmiot żywiołowej nienawiści miejscowej ludności, widzącej w nich ludzi najczęściej obcej rasy i wyznania, aferzystów, własny tylko interes mających na celu, w osiągnięciu którego nie cofają się przed zbrodnią.

Wieśniak ruski szanuje „władzę", o której go uczono, że od Boga pochodzi, żądając od niej obrony dla swego mienia i pewności, że może niem dowolnie rozporządzać. Godził się też nawet i na były rząd carski, który, o ile w grę nie wchodziły sprawy natury politycznej, bynajmniej nie był dlań przykry.

Ale taki porządek rzeczy, jaki obecnie się zaprowadza, nie może im się pomieścić w głowie, nie ma też zaufania do jego pionierów, postępujących w sposób brutalny i drakoński. Każda próba oporu woli komisarzy topiona jest w potokach krwi, ale znajduje też i odwet, żaden z komisarzy sowieckich, urzędujących na tym obszarze, nie jest pewny swojego życia. Ruski chłop odpowiada pięknem za nadobne, krew za krew.

Prócz starć z potężniejszemi watahami powstańców, dobrze uzbrojonemi i niepokojącemi stale bolszewickie oddziały, występujących otwarcie do walki z wrogiem, są bolszewicy na każdym kroku narażeni na czyhające na nich zasadzki. A biada każdemu prześladowcy, który się dostanie w ręce ludu, doprowadzonego do ostateczności ich bezwzględnem postępowaniem, które dosadnie charakteryzuje ogłoszenie o oddawaniu złota, które, jeżeli nie zostanie w odpowiedniej ilości dobrowolnie przez ludność dostarczone, komisarze zarekwirują nawet obrączki ślubne i kolczyki, ale wraz z palcami i uszami opornych. Działalność czerezwyczajek dolewa oliwy do ognia, ludność broni się, jak umie, przed swoimi ciemiężcami. A że lud to mało oświecony, to też i wywieranie zemsty na wrogu przypomina bardzo czasy średniowiecza.

Donoszą z okolic Baru, iż tam dostała się w ręce ludności cała komisya sowiecka, złożona z pięciu osób. Porachunek z niemi załatwiono w krótki sposób. Za ramiona przywiązano do gałęzi, pod nogami, nie sięgającemi do samej ziemi, rozpalono ogień, zostawiając ofiary ich dalszemu losowi.

To smażenie wroga na wolnym ogniu przypomina bardzo czasy z przed lat kilkuset, świadczy jednak równocześnie i o ogromie nienawiści, jaką lud małoruski żywi do swoich ciemiężców.

A podobne wypadki są na porządku dziennym. Niedawno w biały dzień zamordował w Zasławiu niewyśledzony sprawca komisarza sowieckiego, innego zaś w Budnicy, rozebrano do naga i ukrzyżowano, pozostawiając na pastwę losu ofiarę, którą dopiero śmierć z przemarznięcia uwolniła od cierpień.

Nowe prądy nie mogą tam liczyć na powodzenie, ruski chłop zbyt jest przywiązany do ziemi, aby sobie dał wytłomaczyć, że jest ona wspólną własnością wszystkich, on ma ją tylko obrobić, a po owoce jego pracy zgłaszą się inni...

Pierwszy zjazd b. więźniów stanu w Marmarosz Sziget.

W dniu 15 i 16 lutego b. r. odbył się we Lwowie pierwszy zjazd byłych oskarżonych o zdradę stanu sądzonych przez austryackie władze w Marmarosz Sziget. Proces bohaterów II brygady karpackiej głośnym echem odbił się wówczas w całej Polsce, obecny zjazd przypomniał go znowu pamięci ogółu, jako jedną z krzywd wyrządzoną przez były rząd austryacki narodowi polskiemu.

Naczelny wódz wysłał na zjazd swojego specyalnego zastępcę podpułkownika Wieniawę Długoszewskiego. Przybył też dowódca II. brygady Legionów, jen. Józef Haller, następnie jen. Sikorski, jen. Rogalski i wielu innych. Ze 115 oskarżonych przybyło



Krakowska Akademia Handlowa w sprawie śląskiej. Czoło pochodu przed gmachem „Sokoła".

na zjazd około 90 ówczesnych oficerów i żołnierzy, a także sporo więźniów z obozu internowanych w Huszt i sąsiednich miejscowościach węgierskich. Jako reprezentant więźniów obozu niemieckiego przybył major Stamirowski.

W Bazylice Katedralnej odbyło się o godz. 10 rano solenne nabożeństwo, odprawione przez biskupa Twardowskiego. Honorowe miejsce naprzeciwko ołtarza zajął reprezentant Naczelnika Państwa, obok niego jen. Haller, dalej dowódca O. G. jen. Lamezan, reprezentant jeneralnego delegata rządu, reprezentanci miasta, naczelnicy władz, liczne zastępy byłych więźniów, grono oficerów lwowskiej załogi, wreszcie kompania honorowa żołnierzy i obywatelstwo miasta. Po skończonem nabożeństwie przemawiał z przed ołtarza ks. biskup Twardowski.

W południe o godzinie 12 w sali Ratusza odbyło się uroczyste powitanie uczestników zjazdu. Sala i galerya były wypełnione. Zebranie zagaił kapelan II brygady i więzień ks. Józef Panaś, proponując na przewodniczącego jen. Hallera, co przyjęto burzą oklasków. Jenerał Haller powołał na sekretarza podpor. Przepilińskiego, po krótkiej żołnierskiej przemowie, w której zaznaczył, że wszystko, co robimy, robimy dla Polski, i myślimy o tych, którzy ją reprezentują, wzniósł okrzyk na cześć Naczelnika Państwa, Sejmu i rządu. Okrzyk ten entuzyastycznie powtórzono trzykrotnie. Orkiestra odegrała hymn narodowy. Podpor. Przepiliński odczytał początek aktu oskarżenia w procesie w Marmarosz Sziget, oraz nazwiska oskarżonych. Trzech z nich poległo w walkach. Zgromadzeni oddali im cześć przez powstanie. Jen. Haller stwierdził z zadowoleniem, że znaczna większość oskarżonych jest obecną na zjeździe i zdolną jest do dalszego czynu, poczem przemówił podpułk. Wieniawa Długoszewski witając zjazd imieniem Naczelnego Wodza. Długotrwałemi gromkiemi oklaskami przyjęło zebranie przemówienie, poczem jen. Haller zawołał: „Niech żyje Naczelny wódz!“, który to okrzyk powtórzyła trzykrotnie cała sala.

W imieniu miasta powitał zjazd prezydent Neumann, wyrażając radość że Lwów wybrano na pierwszy zjazd bohaterskich więźniów stanu. Imieniem miasta: cześć żołnierzom, jen. Hallerowi i wszystkim uczestnikom czynu legionowego pod Rarańczą! Jenerał Haller przemawiał, oddając cześć bohaterskiemu miastu i obrońcom Lwowa, major Stamirowski jako reprezentant więźniów w Szczypiórnie, Benjaminowie i w Hawelbergu.

Następnie główny oskarżony w procesie, ówczesny kapitan obecnie pułkownik Roman Górecki, odpowiedział na przemówienie prezydenta miasta, kończąc okrzykiem: „Polski Verdun, bohaterskie miasto Lwów kawaler orderu „Virtuti militari“, niech żyje!“ Jenerał Haller w końcowem przemówieniu przypomniał chwile, jakie przeżywała II brygada po podpisaniu pokoju brzeskiego. Wspomniał następnie o gotowości żołnierza polskiego do wszelkich następstw i oddał cześć żołnierzom, którzy wytrwali w swoich obowiązkach, oraz cześć zmarłym towarzyszom broni. Na zakończenie wzniósł okrzyk na cześć Polski, całego narodu, jedności w zgodzie i miłości, dodał, że Lwów i ziemia Czerwieńska musi zostać przy Polsce, ten Lwów, z którego żołnierz polski zawsze będzie czerpał otuchę do czynu. Na cześć Wodza i całego narodu wzniósł okrzyk. Muzyka odegrała „Rotę“, na czem zakończono uroczyste zebranie.

W południe w sali „Gwiazdy“, odświętnie przybranej, odbyło się śniadanie, w którem wzięło udział około 250 osób.

Po śniadaniu rozpoczęły się obrady w sali „Gwiazdy“ w celu założenia organizacyi żołnierzy polskich, którzy najmniej jeden rok służyli w armii polskiej. Uchwalono uprosić Naczelnika Państwa, aby raczył przyjąć protektorat nad tą organizacyą, której ramy mają opracować zebrani na zgromadzeniu jen. Sikorski, ks. dziekan Panaś, podpor. Przepiliński i plut. Horbowiecz. Wieczorem odbyło się kol eżeńskie zebranie więźniów stanu u ks. dziekana Panasia.

W drugim dniu zjazdu złożono hołd obrońcom Lwowa na cmentarzu obrońców. Przybył tu jen. Haller i złożył osobiście wieniec poległym. Był też obecny zastępca Naczelnika Państwa, podp. Wieniawa Długoszewski, jen. Sikorski i wielu innych. Uczestnicy procesu w Marmarosz Sziget złożyli od siebie osobno wieniec. Popołudniu odegrano w teatrze miejskim „Zawiszę Czarnego“, sztukę, napisaną przez jednego z oskarżonych w procesie, w której przedstawiono szereg epizodów przeżyć brygady karpackiej.



Pierwszy Zjazd b. więźniów stanu w Marmarosz Sziget: Jenerał Haller opuszcza lwowski kościół Katedralny po nabożeństwie.

Wieczorem miasto podejmowało gości w salonach ratusza, gdzie zebrali się wybitni przedstawiciele władz, instytucyi i wszystkich sfer. Uczestnicy zjazdu byli przedmiotem serdecznych owacyj. Na tem zakończono uroczystości zjazdowe.

Krakowska Akademia Handlowa w sprawie Śląskiej.

Społeczeństwo polskie daje coraz więcej dowodów, jak żywo i serdecznie zajmuje się sprawą Górnego Śląska, na którym plebiscyt ma się odbyć w najbliższym czasie. Zainteresowanie to rośnie z dniem każdym, zataczając coraz to szersze kręgi, w pracach przygotowawczych biorą udział wszystkie



Krakowska Akademia Handlowa w sprawie śląskiej: Młodzież Akademii Handlowej wraz z gronem profesorskiem w pochodzie na wiec, odbyty w dniu 19 lutego b. r. w sali „Sokoła“.

stery, bez różnicy zapatrywań politycznych. Ofiarność społeczeństwa naszego na cele plebiscytowe jest też bardzo wydatna.

W szeregu wieców, jakie w ostatnich czasach urządzono w Krakowie w sprawie górnośląskiej, zaznaczył się szczególnie dodatnio wiec urządzony przez grono profesorów i młodzież krakowskiej Akademii Handlowej. Inicyatorom wiecu należy się szczególniejsza wdzięczność i uznanie społeczeństwa za wprowadzenie młodzieży na arenę życia politycznego. Słuchacze i słuchaczki krakowskiej Akademii Handlowej stwierdzili, że rozumieją obowiązki, jakie na nich ciążą, jako na obywatelach kraju. Krakowska Akademia Handlowa dała w ten sposób piękny przykład innym naszym wyższym uczelniom jak pojmować i pełnić obowiązki obywatelskie.

W dniu 19 lutego b. r. o godzinie 11 przed południem odbył się w sali krakowskiego „Sokoła" wiec wszystkich kursów ttt. Akademii Handlowej, w którym wzięło udział około 1 500 osób.

Na wiec ten udała się młodzież wraz z gronem profesorskiem w uroczystym pochodzie, który przeciągnął ulicami miasta.

Wiec zagaił dyrektor Akademii Handlowej, Kannenberg, poczem przemówił prezes Towarzystwa obrony kresów zachodnich ks. Rzymełko. Mowca przedstawił znaczenie, jakie stanowi dla Polski Górny Śląsk. Cofnął się do dawnych czasów, wskazał na liczne trudności i niepowodzenia, celem odzyskania wolności tej prastarej dzielnicy polskiej, o której Długosz wyraził się, że, gdy ona będzie odzyskaną, „miałby milszy i w grobie spoczynek".

W dalszym ciągu zabrał głos prof. Sobieski, który zaznaczył, że ziemia Śląska jest jednem wielkiem pobojowiskiem po ciężkich walkach o ojczyznę. Rząd pruski, ów krzewiciel „kultury niemieckiej", mimo olbrzymich wysiłków, nie zdołał spodlić i przykuć do siebie, co odwiecznie było polskiem. Gdybyśmy ścisnęli tę ziemię — mówił mowca — to polałaby się z niej obfitym strumieniem męczeńska krew polska, która powinna większą stanowić dla nas wartość, niż skarby przyrody.

Następny mowca świeżo ze Śląska przybyły, kapitan Włóczek, dziękował Krakowowi, za tak serdeczne i energiczne zajęcie się sprawą Górnego Śląska. W końcu imieniem młodzieży przemówili p. p. Kolkiewiczówna, Augustynkówna, Kadryński i Nowak. Po ostatniej przemowie prof. Balickiego, który zakończył wiec w pomnieniem chwil, kiedy to ś. p. dr Jordan sprowadzał młodzież górnośląską do Krakowa, by ich zapoznać ze skarbami kultury polskiej i wyplenić z młodych ich dusz jad nienawiści do Polski, wszczepiony zebrani z zapałem uchwalili:

w ich dusze przez nauczyciela Prusaka, wśród burzliwych oklasków odczytano rezolucye, które

1) składają hołd ludowi Górnego Śląska i jego dzielnym i zasłużonym obrońcom za jego, mimo bolesnej udręki i prześladowań umiłowanie wielkiej sprawy ojczystej, a szczególnie wyrażają najgłębszą cześć i podziw kobiecie górnośląskiej, która, zwłaszcza, jako matka, ucząc dzieci pacierza w polskim języku, słowo polskie, a przezeń miłość ojczyzny po dzień dzisiejszy w milionach serc przechowała;

2) zasyłają braterskie i koleżeńskie pozdrowienia młodzieży górnośląskiej z wezwaniem by na kolanach błagała idących głosować, aby jej nie wydano w ręce pruskiego kata-nauczyciela, na poniewierkę sumienia i fałszem zaprawioną wiedzę;

3) wyrażają niezłomną nadzieję, że komisya międzynarodowa, składająca się z przedstawicieli państw, które za największą zdobycz kultury uważają wolność narodów — nie dopuści, aby wróg za pomocą oszustw i niegodziwości plebiscyt sfałszował, pogrążając w ohydną niewolę prastarą część narodu polskiego;

4) przyrzekają i ślubują, że po szczęśliwem ukończeniu plebiscytu, z wolnym już ludem Górnego Śląska wspólnemi siłami dążyć będą do utrwalenia potęgi i dla majestatu Rzeczypospolitej, opierając się na pracy rzetelnej a pozytywnej, do czego już teraz przygotowują się pilnie.

Nadto kapitan Radzyński zgłosił rezolucyę dodatkową, zapewniającą młodzież Górnego Śląska, że z chwilą zapisania się do krak. Akad. Handlowej znajdzie tu najżyczliwsze przyjęcie i wszelką możliwą pomoc.



Pierwszy Zjazd b. więźniów stanu w Marmarosz Szigot: Uczestnicy Zjazdu z jenerałem Hallerem na czele podczas przeglądu wojsk na Placu Katedralnym we Lwowie.



Krakowska Akademia Handlowa w sprawie śląskiej: Wiec w sali „Sokoła" w dniu 19 lutego b. r.

MATYLDA SERAO

UCIĘTA RĘKA

TŁOMACZYŁA

MARYA TOCZYSKA

31 I.

Markus Henner, zwyciężony, zgnębiony, bez woli już i czucia opadł całym ciężarem ciała na dywan, z rozkrzyżowanemi ramionami, wybuchając rozdzierającem spazmatycznem łkaniem.

Pomiędzy „Pogrzebanemi żywcem".

Klasztor „Pogrzebanych żywcem", wznosił się na równinie pomiędzy brzegami morza a wzgórkiem Vomero, w Neapolu.

Zbudowany został trzy wieki temu przez bogobojną siostrę Urszulę Benincasa, fundatorką tego zakładu. Dawna reguła wymagała nietylko klauzury absolutnej, lecz nakazywała siostrom szczelne ukrywanie twarzy ilekroć z ce swoich wyjść były zmuszone. Z chwilą złożenia ostatecznych ślubów siostry zakonne zatracały wszelką łączność z światem zewnętrznym i rodziną. Raz tylko na rok pozwalano im na krótką rozmowę z rodzicami, lub też najbliższymi krewnymi.

Rozmowa ta, prowadzona była nie przez kratę, tak jak w innych klasztorach, lecz przez mur gruby, z poza którego głosy dochodziły stłumione i niewyraźne.

Zdarzało się często, że zniechęcona podobną rozmową rodzina zakonnicy nie powracała więcej. „Pogrzebane żywcem" poświęcone Bogu, zapomniane przez świat i ludzi, w ponurych murach swego grobowca — cierpliwie oczekiwały śmierci.

W początkach powstania klasztoru liczba sióstr i nowicyuszek dochodziła do trzydziestu trzech. Była to liczba wymagana przez regułę klasztorną. Ale z czasem, kiedy siostry niektóre powymierały, a nowicyuszek zgłaszało się coraz mniej — liczba ta zmalała. W obecnej chwili ośmnaście tylko zakonnic błąkało się po olbrzymim gmachu i rozległym parku otaczającym klasztor. Jednakże w tym roku dwie nowicyuszki, zgłosiły się do zakonu, polecone przez kardynała z Rzymu. Jedna z nich, przybyła w piękny dzień majowy około godziny piątej po południu. Była to kobieta młoda jeszcze, lecz widocznie wycieńczona chorobą, czy też ciężkiemi moralnemi przejściami. Przybyła powozem, który zatrzymał się według przyjętego zwyczaju przed rampą kamienną, broniącą wstępu do klasztoru i wysiadłszy zapukała silnie do ciężkich okutych podwoi.

Pukanie to zwabiło siostrę furtyankę, która choć uprzedzona przez przełożoną o przybyciu nowej nowicyuszki, zapytała ostrożnie przez drzwi:

— Kto tam?

— Muszę pomówić z matką przełożoną — odpowiedziała nowo-przybyła. Przysyła mnie ksiądz kardynał.

— Więc to nowa nowicyuszka?

— Tak — odparła z głębokiem westchnieniem zapytana.

— Która z dwóch oczekiwanych?

— Oczekujecie więc drugiej?

— Tak, ma przybyć z Rzymu.

— Ja przyjeżdżam z Verony, a nawet z dalszych stron jeszcze.

— A więc jesteś tą, która ma nosić imię siostry Serafiny?

Młoda kobieta nie dała odpowiedzi — tylko z piersi jej wybiegło jeszcze cięższe westchnienie.

— Wejdź więc — zaprosiła furtyanka.

— Mam walizy w powozie.

— Każę je odnieść.

Ciężkie drzwi uchyliły się i po chwili zatrzasnęły silnie.

Nowicyuszka weszła nie rzuciwszy nawet jednego spojrzenia wokoło. Nie towarzyszył jej nikt z krewnych. Znalazszy się w przeznaczonej dla niej celi, natychmiast zdjęła swoje podróżne ubranie i włożyła na siebie szaty zakonne. Cela jej znajdowała się na samym końcu korytarza, w rogu, zkąd widok rozległy rozciągał się na ogród i morze.

Od pierwszej chwili przybycia, siostra Serafina okazała się nadzwyczaj posłuszna i chętna do wypełnienia reguł obowiązujących każdą nowicyuszkę. Zauważono, że ilekroć wychodzi a z pokoju przełożonej, gdzie kilkakrotnie spędziła parę godzin na poufnej rozmowie, oczy jej były silnie zaczerwienione od płaczu, a twarz jeszcze bledsza niż zazwyczaj. Niekiedy znowu spędzała długie chwile wsparta o kratę, wpatrzona o głębokiem zamyśleniu w morze. A kiedy powracała ztamtąd z twarzą zmęczoną i zagasłemi oczami, matka przełożona zwalniała ją z niektórych cięższych czynności przypadających jej w udziale, litując się nad jej osłabieniem i zgnębieniem.

Wówczas siostra Serafina uśmiechała się smutnie i szeptała ledwo dosłyszalnym głosem:

— Dziękuję, moja matko.

— Niech ci Bóg przyjdzie z pomocą, moje dziecko — odpowiadała przełożona.



Niekiedy znowu spędzała długie chwile wsparta o kratę, wpatrzona w głębokiem zamyśleniu w morze.

Siostra Serafina z upodobaniem przebywała w kościele na modlitwie. Często bardzo zakonnice znajdowały ją tam, leżącą prawie bez życia u stóp ołtarza z rozkrzyżowanymi ramionami, z twarzą zalaną łzami.

— Jak ona płacze! szeptały między sobą...

— Zdaje się, że życie już z niej uleciało! Może zemdlała?

Przybliżały się więc by jej przyjść z pomocą.

Lecz siostra Serafina otrząsała się wówczas z letargu, w którym była pogrążona i powstawszy lekko z zimnych kamieni, na których klęczała, czyniła znak krzyża i bez słowa znikała w ciemnych korytarzach.

— Jak dziwna ta nowicyuszka! — czyniły uwagę siostry zakonne.

— Cierpienie jej musi być wielkie!

— Nieszczęśliwa istota!

Wszystkie litowały się nad nią. Były one prawie bez wyjątku dobre i wyrozumiałe, choć o namiętnościach ludzkich wiedziały tak mało! Niektóre może, młodsze, przeżywały w skrytości jakieś serdeczne wspomnienia, lecz wspomnienia te były już tak dalekie, taką mgłą koniecznego zapomnienia zasnute.

Miesiąc zaledwie upłynął od przybycia siostry Serafiny do klasztoru, a już wszystkie przyzwyczaiły się do jej bladej, zawsze smutnej twarzy, do jej wielkich, nieprzytomnych oczu i słodkiego, łagodnego głosu. W tym czasie przybyła oczekiwana druga nowicyuszka.

Jednego dnia o wczesnej bardzo godzinie do furty klasztornej zapukały dwie kobiety.

Jedna z nich starsza, wydała się być służącą, druga młoda uderzającej urody ubrana by a wykwintnie, choć skromnie.

— Czy tu znajduje się zakon siostry Urszuli Benincosa? — zapytała starsza furtyanki.

— Tak.

— Oto młoda dziewczyna polecona przez księdza kardynała — rzekła wskazując swoją towarzyszkę.

— Proszę wejść — odparła furtyanka i przeprowadziła nowoprzybyłe do rozmownicy, poczem oddaliła się aby uprzedzić przełożoną.

Młodsza z przybyłych, która milczała dotąd, opadła bezsilnie na krzesło po odejściu furtyanki.

— Odwagi, panienko! szeptała służąca pochylając się nad nią.

— Nie brak mi jej, ale czuję się tak zmęczona!

— Panienka tu będzie mogła odpocząć do woli — rzekła służąca rozglądając się wokoło.

Pokój był świeżo obielony wapnem. Był w nim tylko stół jeden i cztery krzesła. Kilka świeżych obrazów wisiało na ścianach, oprócz tego ozdób żadnych ale przez okno widać było cienistą aleję ogrodu i w oddali morze błyszczące jak roztopione srebro w gorących blaskach słońca.

— Dobrze mi tu będzie — szepnęła po chwili młoda nowicyuszka.

— To zamknięcie się przed światem, musi być straszne! wzdrygnęła się służąca.

— Tego właśnie pragnę — wyrzekła szybko młoda dziewczyna spuszczając oczy ku ziemi.

— Oh! panienko! to okropne przecież!

— Służyć Bogu nie jest straszną rzeczą!

— Można mu przecież służyć w rozmaity sposób.

— Chcę mu poświęcić całe życie.

— Oh! gołąbko moja! jęknęła służąca — ty jeszcze taka młoda jesteś i taka piękna!

— Nie mam już młodości — brzmiała smutnie odpowiedź.

— Nie trzeba tak mówić. Tyle w życiu jest nadziei i rzeczy pięknych.

— Niema żadnych! żadnych! szeptała nowicyuszka z goryczą w głosie.

Śluby składa się w rok po rozpoczęciu nowicyatu — wyrzekła z naciskiem służąca. Myśli odmienić się mogą...

— To niema dla mnie znaczenia. Mam takie wrażenie jakgdybym te śluby już spełniła. Zresztą przy spieszyć je mogę.

— Oh! nie! nie! to niemożliwe! na szczęście niemożliwe! zapytywałam już o to — zawołała gorąco służąca.

— Czego ty się więc spodziewasz? Na co oczekujesz? — zapytała zimno młoda nowicyuszka.

— Niewiem, panienko... niewiem. Ale nie chcę wierzyć żeby się to wszystko tak zakończyć miało!

— A jednak tak będzie!

— Kto to wiedzieć może! Może będę mogła powrócić tu wkrótce z dobrą wiadomością.

— Tutaj?

— Tak.

— Ty chcesz powrócić?

— Oczywiście.

— Nie łudź się, nie powrócisz tu więcej...

— Dlaczego?

— Nie życzę sobie tego — odpowiedziała stanowczym głosem nowicyuszka.

— Oh! panienko! Czy to możliwe! zawołała rozpaczliwie służąca.

— Nie powinniśmy się więcej widzieć, rozumiesz?

— Panienko! panienko!

— Nie płacz! Dzisiaj pożegnać się musimy!

(Ciąg dalszy nastąpi)

M. STAWISZ.

GORĄCZKA ZŁOTA

POWIEŚĆ

33

I.

— Co to ma znaczyć! Niechże Franciszek jaśniej mówi — niecierpliwiła się Kazia. — Ja nic nie rozumiem.

— A czy to panienka nie wie, że się pan w różne interesa wmięszał, a z takich interesów, to nic dobrego wyjść nie może.

— Co — co? — porwała się z kanapy Gawlikowa — więc Franciszek przypuszcza, że to o pana interesa chodzi.

— Coś mi się zdaje, że to, to będzie — odpowiedział stary niedwuznacznie potrząsając głową.

— Jakto? Jakto? Więc może stracił to, co już zarobił — jęknęła Gawlikowa, chwytając się za głowę. — Może go wspólnicy okradli — co?

— Kto tam, kogo okradł to ja już nie wiem. Ale przy takich nie pewnych interesach to różnie bywa.

— Jakie niepewne interesa? Co za niepewne interesa — rozgniewała się Gawlikowa. — Franciszek też od rzeczy gada! Wszyscy prawie się dziś do interesów biorą, czy to on jeden!

— Niech się pani nie irytuje — uspakajał poważnie stary. — Jeszcze coś do gości dojdzie i będzie skandal niepotrzebny. Pojedzie pani to się o wszystkiem dowie.

— Ah! co mnie teraz goście obchodzą. Powyrzucam wszystkich za drzwi. Czy to nie za moje pieniądze się bawią!

— Pani chyba żartuje — uśmiechnął się ironicznie Franciszek. — Trzeba do gości wrócić, bo taka długa nieobecność pani zwrócić może uwagę, nie dać nic poznać po sobie, a jutro zapakować się i jechać. Ja tak radzę — dodał z naciskiem i z poważną godnością wysunął się z pokoju. — A na moją dyskrecyę — dodał jeszcze od progu — mogą panie liczyć. Nie jestem z tych co tajemnice państwa z domu wynoszą.

— On ma słuszność — odezwała się Kazia po wyjściu starego. — Trzeba wrócić do gości i tak się zachować, żeby się niczego nie domyśleli. Niewiadomo jeszcze jak jest i co jest, więc pocóż przedwcześnie irytować się i rozpaczać. Wolałabym umrzeć na miejscu, niż gdyby ci Szulcowie wyśmiewać się z nas mieli. Niech mama wraca do salonu i przypilnuje, żeby zaraz po skończonym programie kolacyę podali. Może się prędzej potem rozejdą.

— Ah! skaranie boskie z tymi gośćmi — westchnęła Gawlikowa, dźwigając się ciężko z kanapy. — Muszę też pilnować Stasi, żeby się w konszachty z Franciszkiem nie wdawała. Ona to gotowa zaraz wszystkim o telegramie ojca roztrąbić. Ciągle dziś szelma uciekała od Markiewicza. Żeby nie goście, tobym była jej porządnie nakładła w uszy. Głupia dziewczyna!

— Niechże już mama idzie — niecierpliwiła się Kazia. — Ja muszę się trochę przypudrować, bo mnie ten telegram tak zdenerwował, że wyglądać muszę jak po chorobie. Dobrzeby też było, żeby mama chwilę porozmawiała ze Szulcową i napomknęła jej od niechcenia, że hrabiego zatrzymało w Krakowie urządzanie mieszkania, gdyż ślub mamy zamiar przyspieszyć.

— Dobrze, dobrze, już ja tam wiedzieć będę, co jej powiedzieć — odpowiedziała Gawlikowa, strzepując rękami koronki stanika, które w napadzie złości po przeczytaniu depeszy zmięła nielitościwie. Ah! żeby już tego jutra jaknajprędzej doczekać się można. Jabym wszystkich na cztery wiatry przepędziła i zaraz wzięła się do pakowania — mruczała jeszcze zamykając drzwi za sobą.

XVII.

Nazajutrz, w południe Gawlikowa z córkami opuszczała Zakopane. Przed gośćmi wytłómaczyła ten nagły wyjazd niespodziewaną chorobą Gawlika.

— Coś bardzo podejrzanie wydaje mi się ta choroba — szeptała Wikta Szulcówna matce, kiedy po wyniesieniu już ostatnich kufrów Gawlikowa z Kazią i ze Stasią wsiadały do dorózki, mającej je odwieść na dworzec. Wczoraj zabawa, a dzisiaj nagły wyjazd. To prędzej wygląda na ucieczkę.

— Pewnie się tam coś niedobrego stało w Krakowie — uśmiechnęła się złośliwie Szulcówna. A dałby Bóg, bo te ich nosy zadarte już mi na dobre na nerwy działać zaczęły.

— Napiszę do barona, niech się coś dowie i odwrotną pocztą doniesie — zadecydowała Wikta.

— Boję się czy one jakich intryg nie porobiły, bo dlaczego baron wczoraj nie przyjechał — rzekła zamyślona Szulcowa.

— Także mamie przyszło coś do głowy —



— Gdzie pan? — było pierwsze pytanie Gawlikowej.

zaśmiała się zuchwale Wikta. — Barona jestem tak pewna jak siebie samej. Już ten mi się z ręki nie wymknie. Za dobrze go trzymam.

Dnia tego deszcz zimny mrzył od rana i całe Zakopane otulone było mgłą gęstą, która wraz z falami ostrego wiatru spadała z gór niewidzialnych zupełnie. Gawlikowa z córkami siedziała zła i zamyślona, otulona szalami w przedziale wagonu, który je unosił do Krakowa i przez całą drogę nie odezwała się ani słowem.

Stasia, którą mimo niedobrych przeczuć cieszył ten niespodziewany powrót, kilkakrotnie chciała nawiązać rozmowę z Kazią, ale Gawlikowa ofuknęła ją ostro.

— Siedziałabyś spokojnie. Teraz to paplesz jak sroka, a wczoraj to Markiewicz słowa od ciebie wydobyć nie mógł. Myślisz, że nie zauważyłam. Ale o telegramie ojca to pewnie mu powiedziałaś.

— Nie powiedziałam — broniła się Stasia. — Dziś rano go nawet nie widziałam, bo odjechał najwcześniejszym pociągiem, kiedyśmy wszyscy spali jeszcze.

Pociąg nareszcie wlokąc się kilka godzin dodarł do Krakowa.

Gawlikowa na widok dworca odetchnęła z ulgą. Wychyliła się szybko przez okno sądząc, że ujrzy Gawlika i będzie mogła zaraz zaspokoić swoją ciekawość.

Ale spotkało ją rozczarowanie. Gawlika nie było. Twarz Gawlikowej zachmurzyła się jeszcze bardziej i wielki niepokój ogarnął ją.

— Co to znowu ma znaczyć — mruknęła do Kazi, wyjmując z siatki różne drobiazgi. — Ojciec po nas nie wyszedł. Przecież mógł się spodziewać, że tym pociągiem przyjedziemy.

— Pewnie zajęty interesami — odparła Kazia, która pomimo wszystko wierzyć nie chciała jeszcze, że mogło im naprawdę coś złego grozić. — Zresztą może się nas spodziewał dopiero w nocy.

— Ano zobaczymy — westchnęła Gawlikowa wysiadając z wagonu.

W pół godziny później dzwoniła do swojego mieszkania. Przyszła otworzyć stara kucharka, Katarzyna.

— Gdzie pan? — było pierwszem pytaniem Gawlikowej.

— A skąd ja mogę wiedzieć proszę pani. — Pana już od wczoraj w domu nie było.

— Co? — krzyknęła Gawlikowa. — Co Katarzyna mówi?

— A no tak, jak jest. Pana od wczoraj niema w domu.

Wiadomość ta jak obuchem uderzyła w Gawlikową. Chwiejnym krokiem, nie pytając już o nic więcej, powlokła się do jadalnego pokoju i bezzwładnie usiadła na kanapie, błędnie patrząc przed siebie.

Podeszła do niej Stasia, chcąc jej pomódz rozebrać się, ale ostro odtrąciła ją od siebie ręką.

— Idź precz! nie denerwuj mnie! Także się wybrała.

— Gdzie Julka? — zwróciła się do kucharki, która z Franciszkiem wnosiła kosze do pokoju. — Dlaczego nie przyjdzie pomagać.

— Ju! a już trzeci dzień jak zabrała się i poszła — opowiedziała Katarzyna z widocznem zadowoleniem w głosie. — Zdaje się, że to przez nią te wszystkie historye.

— Jakie historye? — ożywiła się Gawlikowa. — Niechże Katarzyna mówi.

— A no ta rewizya u nas.

— Rewizya! — jęknęła Gawlikowa ochrypłym głosem, chwytając się za głowę.

— A to pani nie wie? Cała kamienica się zleciała. Wstydu się człowiek najadł tylko. Jeszcze mnie coś podobnego u żadnego państwa nie spotkało — wybuchnęła ze złością kucharka, nie tając się już wcale ze swoją niechęcią. Jak się tu teraz ludziom pokazać na oczy! Byłabym także już rzuciła wszystko i poszła sobie, ale przecież mi o zasługi chodzi, no i mieszkania tak na łasce Bożej zostawić nie mogłam. Człowiek choć prosty, ale swój honor i ambicyę ma jeszcze — dodała mierząc Gawlikową pogardliwem spojrzeniem.

— Rewizya! rewizya u nas! — powtarzała oszołomiona Gawlikowa, zdając się nie słyszeć słów kucharki. — Taki wstyd! taki skandal! Co ten idyota narobił! Mój Boże! Ale to może była jaka pomyłka? co? Co od nas chcieć mogli? Czego szukali? — pytała niespokojna, czepiając się jeszcze jakiegoś ostatecznego przebłysku nadziei.

— Co za pomyłka, kiedy zabrali wszystko z piwnicy na furę i wywieźli — wzruszyła ramionami Katarzyna.

— Co wywieźli? co zabrali? — zerwała się jak szalona z kanapy Gawlikowa i podskakując do kucharki potrząsnęła ją silnie za ramię.

— Co też pani wyrabia — żachnęła się tamta odsuwając się z godnością. — Niechże się pani uspokoi, bo aż nie ładnie patrzeć na tę irytacyę pani. Zabrali to, co pan przez te całe tygodnie ukrywał na pasek. No, wie pani teraz?! I sloninę i cukier i ryż i różne rzeczy jeszcze. Kto wiatr sieje burzę zbiera, wiadomo, trzeba też było panu w takie szkaradzieństwa się wdawać. Ale też będzie teraz miał za swoje. Nie prędko się z ich rąk wydostanie.

(Ciąg dalszy nastąpi).

ROBERT HICHENS.

Bella Donna

Tłómaczenie z angielskiego Marji Starczewskiej.

TOM I.

25

Hassan spokojnie czekał, aż mu dała znak prawie gwałtownym ruchem, że odpowiedzi nie będzie. Kiedy odszedł, siedziała chwilę z telegramem na kolanach, poczem zawołała na Ibrahima. Usłyszał jej głos i nadszedł poruszając się zwolna pomiędzy różanemi krzakami.

– Otrzymałam telegram z Kairu – rzekła. Wzięła papier i pokazała go.

– My lord Arminigel – on powraca?

– Tak.

– To bardzo dobra wiadomość, bardzo miła wiadomość – rzekł Ibrahim z sennym wyrazem zadowolenia.

– Wyjeżdża dziś wieczorem, i będzie tutaj jutro rano.

– To bardzo piękny interes! – rzekł pochlebnie Ibrahim. – My lord był tak długo nieobecnym, będzie rad jak nas zobaczy znowu.

Spojrzała na niego, lecz on nie patrzał na nią. Kręcąc kwiat w białych zębach spoglądał w stronę rzeki ze spokojem, który jej się wydawał naganą. Lecz co to go obchodziło? Barondi mu płacił. Nigel mu płacił. Nie miał powodu czuć się pokrzywdzonym.

– Kiedy przyjedzie – rzekła – zabierze mnie do Fayum.

– Tak. Fayum jest bardzo ładną miejscowością, bardzo dobrą miejscowością. Wszystko tam jest; są szakale, kaczki, czcina cukrowa; jest woda; są drzewa palmowe; jest wszystko czego komu potrzeba.

– Ah! – rzekła.

Wstała z nerwowym, gwałtownym ruchem.

– Co za korzyść z tego wszystkiego dla ciebie? nie jedziesz z nami do Fayum przypuszczam.

Nie, nie odrzekł.

– Jedziesz? – zawołała.

– Z pewnością.

– Zkąd o tem wiesz? Czy Mr. Armine to powiedział?

– Mylord nic mi nie powiedział, ale ja pojadę z państwem i Hanza pojedzie także.

– Hanza pojedzie?

– Z pewnością.

Doznała wrażenia ulgi, połączonej jednak z lekkim strachem.

– Dlaczego? – dlaczego Hanza ma z nami jechać – zapytała.

– Żeby być pani poganiaczem osła. Hanza jest bardzo dobrym poganiaczem osłów.

Nie wiem – nie jestem pewną czy będę potrzebowała Hanzy w Fayum.

Ibrahim patrzał na nią z uśmiechniętą twarzą.

– W Fayum pani nigdy nie znajdzie dobrego poganiacza osłów, my lady, lecz pani będzie zawsze czyniła co zechce. Jeżeli pani nie zechce wziąść Hanzy, Hanza będzie bardzo smutny, lecz Hanza tutaj zostanie. Pani czyni zawsze to co myśli.

Kiedy skończył mówić, wiedziała że Hanza będzie im towarzyszył, że Barondi kazał Hanzie jechać z nimi.

– Zobaczymy to później – rzekła, jak gdyby miała wolę pod tym względem.

Spojrzała na zegarek.

– Pora nam wyruszyć.

– Feluka gotowa – zauważył Ibrahim. – Dziś wieczór Lonlia odpłynie; odpłynie do Arnaut.

Mrs. Armine ściągnęła brwi. Arnaut - Esuech – Kom – Ombos – i Assnaul Arbitraina jej natura będzie kąsana przez skorpiona zazdrości. Jak zniesie te ukąszenia? Lecz – był dzień dzisiejszy. Kiedy się nauczy żyć dniem dzisiejszym? Jakże była szaloną! Ze ściągniętemi brwiami nie mówiąc słowa, poszła prędko się przebrać.

Było już po północy kiedy wróciła do domu. Nie było księżyca, wicher dął gwałtownie, chłoszcząc spienione fale Nilu, i rzucając ziarnka piasku pustyni na łąki i ogrody Luksoru. Gwiazdy się skryły, noc była zimna i ciemna. Oparła się silnie na ramienia Ibrahima, wychodząc na brzeg rzeki, i po omacku szła drogą prowadzącą do willi, w której świeciły się tylko dwa światełka. Kiedy Ibrahim podniósł rękę do dzwonka, nagła bojaźń ogarnęła Mrs. Armine. Jeżeli Nigel wyjechał z Kairu wcześniej niż zamierzał? jeżeli już był w domu? Ujęła rękę Ibrahima. Powiedział jej coś, co uleciało z wichrem. Opuściła rękę, zadzwonił i Hassan otworzył drzwi. – Spytaj się czy – czy nic się nie stało? czy nie nadeszła jaka wiadomość? czy niema czegoś dla mnie? – rzekła do Ibrahima, jak weszli do domu.

Ibrahim przemówił do Hassana po arabsku.

– My lady, on mówi, że niema nic.

– To dobrze. Idę do łóżka. Dobranoc Ibrahim.

I weszła na schody.

Kiedy się znalazła w sypialni, usiadła jak była, z welonem na twarzy, podniesionym kołnierzem płaszcza, z rozrzuconymi przez wicher włosami. Lampa paliła się na stole, na którym były rozrzucone srebrne przybory toaletowe. To jej przypomniało, że nie miała już pokojowej. Rozstała się z Marie, która poprzedniego dnia opuściła Luksor, bez płaczu, bez widocznego gniewu, lecz ze zwykłym chciwym, ostrym, badawczym wyrazem. Mrs. Armine, przyszła do niej, przed dwoma dniami, trzymając w ręku otwarty list Nigla, mówiąc, że mąż jej doszedł do przekonania, że pobyt pokojowej w Fayum, byłby niemożliwym, i że Marie powinna przez ten czas pozostać w Luksorze. Poczem nastąpiła mała scena doskonale odegrana przez obie kobiety; Mrs. Armine ułyskująca, lecz bez przesady rozstanie, Marie opłakująca postanowienia *„Monsieur"* zabrania *„une dame si délicate, si fine"* do *„un monde si terrible, si sauvage"*, lecz podsuwająca równocześnie niemożliwość pozostania samej w willi, w towarzystwie nubijskiej służby. – Mrs. Armine żałowała postanowienia Marie, lecz oddawała pochwałę jej dziewczęcej *„delicatesse"* i przypadkowo przypomniała sobie, że niektóre suknie, które kupiła w Paryżu i kapelusze, według określenia Marie *„plus chic que le diable"* są jej niepotrzebne. Przytem pewne obietnice zostały uczynione, Marie dała swój stały adres we Francyi i kurtyna zapadła.

Tak więc Hassan porządkował teraz rzeczy Mrs. Armine. Była rada, że Marie odeszła, lecz bez pokojowej, czuła się jak okradziona. Nigdy, od swych najmłodszych lat nie zajmowała się niczem, w czem mogła się wyręczyć panną służącą. A w obecnym składzie służby nie miała żadnej dziewczyny w domu. Czuła się zmęczoną, wyczerpaną, nerwy jej były w najsilniejszem naprężeniu; serce jej pożerała zazdrość.

Przygnębienie opanowało ją. W takim stanie tem uciążliwszem był brak wygody. Kiedy zobaczyła toaletowe przybory rozrzucone, a właściwie poukładane nieumiejętną ręką, zbierało się jej na płacz. I nikogo, żeby zdjąć kapelusz, rozczesać włosy, rozpiąć buciki! I Nigel o dziewiątej rano!

Wicher hulał na dworze. Jedna z okiennic otworzyła się i uderzyła w ścianę, sprawiając łoskot, wiedziała, że wystarczy jej wysunąć rękę, żeby go przerwać, a jednak bała się to uczynić, bała się wyciągnąć rękę w ciemność, żeby ją inna ręka nie uchwyciła. Była pełna nerwowego przerażenia.

Siedząc tak, trudno jej było uwierzyć, że jest w Egipcie. Wycie wichru przypominało północny klimat. Okiennica wciąż stukała o ścianę. Nie mogła już tego dłużej znieść. Wstała i podchodząc do drzwi zawołała:

– Ibrahim!

Nie było odpowiedzi. Światła były zgaszone, przerażała ją ziejąca ciemność.

– Ibrahim! Ibrahim! – wołała.

Usłyszała szelest draperyi i ciche kroki. Ktoś spiesznie nadchodził. Cofnęła się do pokoju i Ibrahim się ukazał.

– My lady czego potrzebuje?

Wskazała na okno.

– Okiennica otwarta. Czy możesz ją zamknąć? Taki straszny łoskot! Nie mogłabym spać przez całą noc.

– Otworzył okno. Wicher wpadł do pokoju i zgasił lampę.

Przez trzy lub cztery minuty Mrs. Armine nie słyszała nic prócz wichru, który hulał w pokoju, jakby zagarniając go na własność. Miała wrażenie, że się stała ofiarą jego i ciemności. Paniczny strach przed czemś nieznanem ją ogarnął, miała uczucie, że jest bezbronną, potępioną, pozbawioną na zawsze szczęścia i światła. I kiedy okno zostało zamknięte, zapałka potarta, światełko błysnęło i postać Ibrahima częściowo się zarysowała, skoczyła do niego z uczuciem niezmiernej ulgi.

– Oh! Ibrahim, co za okropna noc! jestem przerażona – rzekła.

Zapalił lampę, zwrócił się do niej i spojrzał:

– My lady, pani jest zupełnie biała, jak kwiat lotosu, który Ramzes trzyma w ręku.

Położyła rękę na jego ramieniu. Teraz ją siła opuściła i siadła na sofie, odpięła kapelusz i welon i rzuciła na podłogę.

– To skutkiem burzy. Niecierpię odgłosu wichru w nocy.

– Geniusz jedzie na wichrze – rzekł Ibrahim poważnie.

– Geniusz? Co to takiego?

– Zły duch. Przychodzi żeby szkodzić. Był w pokoju, dzisiaj.

Spoglądali na siebie w milczeniu, poczem Mrs. Armine rzekła:

– Czy okiennice przymocowane?

– Przymocowane.

– Dobranoc, Ibrahim.

Dobranoc, my lady.

Podszedł do drzwi.

– Z pewnością geniusz był w pokoju, dzisiaj – rzekł uroczyście.

Próbowała się uśmiechnąć z jej niedorzeczności, lecz wargi odmówiły jej posłuszeństwa.

– Poco miałby przychodzić? – spytała.

– Niewiem. Może żeby powitać my lord Arminie; zła noc dzisiaj. Mahomed umarł tej nocy. On umarł w nocy z niedzieli na poniedziałek.

Wyszedł, zamykając drzwi za sobą.

Jak tylko Mrs. Armine została sama, prędko się rozebrała, rozrzucając w nieładzie suknie po pokoju i weszła do łóżka. Zostawiła lampę zapaloną, lękała się ciemności i wiedziała, że nie będzie mogła zasnąć. Pomimo, że się śmiała z egipskich przesądów rozglądając się po pokoju, prawie mimowolnie wypatrywała mglistej postaci geniusza.

Przez całą noc wicher dął, gwizdał, wył, i przez całą noc leżała nie śpiąc, a zastanawiając się, obawiając, projektując, wyobrażając sobie, lękając się przyszłości, lecz licząc na swą zręczność i siłę woli, dla uczynienia jej taką jaką pragęła. I będzie miała powierników, Barondi'ego, Ibrahima, Hanzę.

Kiedy o świcie wicher ucichł i sen ją otulił, ostatnią rzeczą, którą widział, oczami wyobraźni był Hamza, wyprostowany, zagadkowy, poważny, trzymający pałeczkę w ręku.

A może to był geniusz, który przybył z ciemności, żeby powitać „my lord Arminigel".

– Co to jest? Czy to geniusz rusza się, mówi? Co to? Bezwarunkowo był jakiś ruch w pokoju, jakiś głos. Otworzyła oczy, ujrzała światło słoneczne, i jakąś postać przy łóżku.

– Ruby!

Przymknęła oczy i leżała cicho.

– Ruby!

Uczuła dłoń na swych rękach. Dotknięcie wreszcie ją zbudziło, uprzytomniła sobie, że to poranek i Nigel. Stał przy łóżku w podróżnem ubraniu, zakurzony, z uradowaną, opaloną twarzą, patrząc na nią, trzymając jej rękę.

– Przestraszyłem ciebie? Nie chciałem tego uczynić, lecz myślałem, że już nie śpisz.

Nie było wymówki w jego głosie, lecz może cień zawodu. Usiadła opierając się o poduszki:

– A ja chciałam wyjść na dworzec na twoje spotkanie! — rzekła.

Usiadł przy łóżku, trzymając wciąż jej rękę.

– Chciałaś?

– Naturalnie. To ten mój zły zwyczaj siedzenia późno w noc i spanie z rana. I taka burza była w nocy.

— Wiem. Geniusz wyjeżdżał.

Mówił ze śmiechem, lecz ona rzekła:

– Zkąd o tem wiesz?

– Zkąd? Jakto? w Egipcie – lecz co masz na myśli?

Ale ona już zupełnie oprzytomniała, była rozbudzoną, sobą samą, wolną od strachów.

– Jak dobrze wyglądasz! – zawołała.

– Praca – odrzekł – słońce – życie pod namiotami! To wspaniałe! Jak ja pragnę żebyś to polubiła! Ale, czy nie wypijemy razem herbaty? Potem wezmę kąpiel. Dzisiaj za zimno na Nil i jestem cały zakurzony. Zadzwonię na Marie.

Ruszył się, lecz wstrzymała go za rękę:

(Dalszy ciąg nastąpi).

Kronika tygodniowa

Najodpowiedniejszym tematem trzeciego rozmyślania wielkopostnego wydają się kronikarzowi sprawy aprowizacyjne. A to z dwu powodów. Po pierwsze można na ich tle śpiewać prawdziwe „gorzkie żale“ i to nawet bardzo cienko, po drugie zaś, mają one coś wspólnego z karnawałem, którym zajmowaliśmy się w ubiegłym tygodniu. Wspólność ta polega zaś na tem, że w karnawale „rozskakało się“ na dobre nasze społeczeństwo a zaraziły się tem widocznie i ceny najniezbędniejszych artykułów codziennego użytku, skaczą bowiem zapamiętale, a nikogo niema, kto powiedzieć im chciałby, że to nie wypada, bo to już wielki post.

Dziadowie i ojcowie nasi pościli w tym okresie bardzo sumiennie, ale dobrowolnie, wychodziło im to też na duchowy i cielesny pożytek, my pościmy rok cały, lecz z musu. Taki post i duszy nie zbawi i ciału nie pomoże. Dotychczas wiedzieliśmy, że najtrudniej przebyć „przednowek“, obecnie przekonujemy się, że on u nas trwa rok cały, że zatem wielkiego postu mamy nie sześć tygodni lecz pięćdziesiąt dwa.

Z okazyi owego sześciotygodniowego postu wydał Kościół dyspenzę, łagodzącą dotychczasowe przepisy i dozwalającą naprzykład na używanie w tym czasie bez szkody dla zbawienia tłuszczów przedtem zakazanych (słonina, smalec... o ile naturalnie kogo stać na to, aby się w nie mógł zaopatrzyć, gdyż i ich ceny bardzo „skaczą“), rząd warszawski nie jest na tyle względny i o ile to dotyczy owego drugiego postu, trwającego rok cały, obostrza stale przepisy, dyspenzy żadnej nie udzielając, nie powodaje się przecież naszem zbawieniem, lecz chciałby się uwolnić od kłopotów, których powodem zaopatrywanie ludności w artykuły niezbędne do życia i płacenia podatków, kto bowiem umrze z głodu, ten już z całą pewnością podatku nie zapłaci. Najbardziej przypadłoby do gustu władzom aprowizacyjnym, gdyby tak można było wydać nakaz zupełnego wstrzymania się od jedzenia i picia. O czemś podobnem na razie jeszcze mowy niema, my jednak uprzedzamy rozporządzenie pana ministra aprowizacyi i zaczynamy się przygotowywać zupełnie seryo do absolutnej abstynencyi od wszelkiego jadła i napoju, a to dzięki bardzo racyonalnej gospodarce naszych władz aprowizacyjnych.

Wiadomo powszechnie, że, im maszyna jest bardziej skomplikowana, im więcej posiada kółek i kółeczek, tem częściej zawadzi. Zupełnie podobnie ma się rzecz z aprowizacyą. Władzą centralną jest ministerstwo, jemu podlega Rada aprowizacyjna dla Małopolski, są dalej urzędy okręgowe i lokalne, tak jednak niezbędnego artykułu, jak chleb, stale brak. W Krakowie chleba kontyngentowego nie widzieliśmy, a temsamem i nie jedli od kilku miesięcy (ciągle „jest w drodze“...), a na kupowanie pozakontyngentowego, po dwieście marek za bochenek, wystarczający dla rodziny, złożonej z kilku osób, *notabene* nie odznaczających się nadzwyczajnym apetytem, zaledwie na jeden dzień, stać nie każdego. Człowiek, żyjący ze stałych dochodów, nie podskakujących w tym stosunku jak ceny, nie może sobie na to pozwolić, by wydać na sam chleb miesięcznie cztery tysiące marek.

Przed kilku dniami ogłosił magistrat rozporządzenie w sprawie bułek, oznaczając ich wagę i cenę (coś niemal ponad cztery marki za bułkę o wadze cztery deka), piekarze przecież nie wiele sobie robią z tego i wypiekają bułki o wadze, jaka im jest wygodniejsza, a za sztukę liczą dziesięć marek, tak dla wygody swojej i nabywcy, aby się nie potrzebował starać o drobne.

To bezhołowie wywołane jest nienależytem funkcyonowaniem bardzo skomplikowanej maszyny, która się nazywa ministerstwem aprowizacyi. Jak błogą jest działalność tego urzędu dowiedzieliśmy się z mowy nowego ministra Grodzickiego, który na posiedzeniu Komisyi aprowizacyjnej przedstawił w tak wymownych słowach działalność swego poprzednika, iż dało to powód posłowi Rachowi do zgłoszenia wniosku o postawienie byłego ministra w stan oskarżenia. Były to jednak „strachy na Lachy“... Nowy minister w razie przyjęcia wniosku, zagroził dymisyą i... sikawka przepadła w wodę, bo jakże moglibyśmy się obejść bez głowy tak ważnego działu administracyi...

Kto jednak wie, czy nie byłoby lepiej, gdyby wogóle tej władzy, w tak bezczelny sposób znęcającej się nad naszymi żołądkami, wogóle nie było. Czy nie byłby korzystniejszy dla wszystkich, to jest tak dla rządu, jak i dla obywateli, wolny handel zamiast tak rozwielmożnionego dziś „wolnego paska“?...

Nad tem warto byłoby się poważnie zastanowić...

Co do owych bułek, o których wyżej była mowa, należy zaznaczyć, że mają to do siebie, iż długo leżą w żołądku, a gdyby ktoś chciał w myśl słów Pisma św. „kto na ciebie kamieniem, ty na niego chlebem“, i użył w tym celu bułki za dziesięć marek, z pewnością nabiłby mu potężnego guza, sprawozdawca zaś dziennikarski mógłby wówczas dowieść, że cios zadany był narzędziem tępem, twardem.

Władzom aprowizacyjnym powinien dopomagać Urząd walki z lichwą, ten jednak przypomina bardzo wieloryba i poluje jedynie na drobne śledzie, grubszym pozwalając hulać bezkarnie.

Powie kto może, że „nie samym chlebem żyje człowiek“.. Tak, to prawda!... Ale tu chleb stanowił zawsze dodatek i uzupełnienie innych potraw, obecnie zaś, w braku ich, powinienby je zastąpić, jako najpopularniejszy i najłatwiejszy do nabycia, zwłaszcza w kraju rolniczym, środek codziennego użytku.

A jednak go brak, ten zaś, który się dostaje w „wolnym pasku“ jest nie dla wszystkich dostępny.

Głodujący demokrata, zastanawiając się nad przyczynami braku chleba, o ile mu się uda, „zbadać puszcz litewskich przepastne krainy“..., dojść musi w rezultacie do wniosku, że jest to tylko konieczne następstwo zbytniej mnogości władz, zajmujących się sprawami aprowizacyjnemi, z których żadna nie wie zupełnie stanowczo, co do jej zakresu działań należy, a choćby nawet i wiedziała, udaje nieświadomość, by sobie oszczędzić kłopotów, i odsyła interesowanych dalej, wiedziona naturalnie tylko troską o ich zdrowie, jako, że spacer wpływa dobrze na apetyt, a kto go ma, to dowód, że jest zdrów. Mniej władz aprowizacyjnych a więcej artykułów spożywczych, oto głos, idący prosto z... żołądka każdego, nie mogącego w dzisiejszych warunkach, choćby nawet i na głowie się postawił zgrzeszyć obżarstwem, chyba, że jest paskarzem, lichwiarzem lub czemś podobnem. Kronikarz ma jednak na myśli ludzi uczciwych a ci z zasady głodują.

Zdaje się, że nie poniósłby nikt szkody, gdyby wogóle te nabytki wojenne, w guście Urzędów aprowizacyjnych, central, Paszppów i innych podobnych im administracyjnych dziwolągów, zniknęły zupełnie z horyzontu, stworzono je bowiem na pożytek i chwałę paskarstwa.

Gdy nasze żołądki podlegały Radzie małopolskiej, było źle, ale nas pocieszano, że się to poprawi, gdy się dostaniemy wprost pod opiekuńcze skrzydła ministerstwa. Zamianowano nawet dyktatora żołądkowego dla Krakowa, o bardzo smacznem i pożywnem nazwisku, ale też i na tem się skończyło. Dyktator jest, chleba w dalszym ciągu brak.

Skoro zatem i tak źle i tak niedobrze, pozostaje jedna jedyna ewentualność: cały dotychczasowy system jako widocznie zupełnie celowi nie odpowiadający, gruntownie i rychło zmienić, to jest spróbować, czy wolny handel nie będzie korzystniejszy, choć to wielu protegowanych pozbawi ładnych dochodów, zbieranych kosztem naszych nieszczęsnych żołądków.

Urząd walki z lichwą może nadal i powinien zostać, ale musi się poddać radykalnej operacyi gardziela, by mógł połykać i grubsze ryby, nie tylko śledzie, często całkiem niewinnie w jego paszczę wpadające. Wszelkie protekcye i względy powinny wziąć w łeb, do nia powinni iść nie tylko zwykłe sobie Gawliki, ale paskarze i lichwiarze o daleko piękniej brzmiących nazwiskach, bez względu na to, jakie zajmują stanowisko społeczne. Jest ono tylko bocznem ich zajęciem, głównie zaś paskiem i lichwą, wszyscy zaś paskarze i lichwiarze powinni być podciągnięci pod wspólny mianownik. Jeżeli u św. Michała mało dla nich miejsca, można opróżnić któryś z okolicznych bastyonów. Wyjdzie im to na zdrowie, powróciwszy zaś będą mogli zupełnie słusznie opowiadać, że „bawili na świeżem powietrzu“... Ci pośrednicy, tacy jako ów piernikarz, o którym swojego czasu pisaliśmy, że handluje sardynkami, nie mającemi chyba z piernikarstwem nic wspólnego, to właśnie hyeny najgorszego gatunku, żerujące na naszą szkodę. Należy je tępić, a może położy się kres złemu, a ceny zaczną spadać także i u nas, nie tylko za granicą.

Że zaś Urząd walki z lichwą zadań swych nie spełnia tak, jak powinien, i że paskarze i lichwiarze nie mają wobec tego dla nich należytego respektu (zwłaszcza ci grubsi, wiedzący o tem, iż ich nie przełknie..), na to mamy dowody na każdym kroku.

Kilogram mięsa kosztuje o kilka mil od Krakowa sześćdziesiąt marek, u nas dwa i pół raza tyle, wobec czego musimy się zamienić z konieczności w jaroszów, ale takich, którzy potrafią się wogóle obejść bez jedzenia, skoro brak chleba, mleka, jarzyn i t. d. Rzeźnicy stanowią ceny, jakie się im podoba, a władza aprobuje je pokornie.

W ich ślady idą i odsprzedawcy i też robią, co się im podoba. Tak naprzykład za funt szynki, który kosztuje w masarni sto trzydzieści marek, płaci się w sklepie spożywczym (wtedy się nazywa „wiejska szynka“...) sto czterdzieści, sto sześćdziesiąt, nawet więcej. To kronikarz skonstatował na własne swe oczy i kieszeń (gdyż jest tak lekkomyślny, iż od czasu do czasu pozwala sobie na podobne zbytki!...) i dlatego zapytuje, czy niema środka zaradczego, by podobnym nadużyciom kres położyć?... Czy Urząd walki z lichwą jest w tym wypadku bezsilny, czy krótkowzroczny?... Nie każdy ma tyle czasu, aby się módz w masarni zaopatrzyć w wędliny, nabywa je zatem z drugiej ręki, w sklepie spożywczym, czy nie jest to jednak krzywda, o pomstę do nieba (i Urzędu walki z lichwą!... przyp. zecera) wołająca? Rzecz prosta, że ten pośrednik musi coś zarobić (choć masarz daje mu odpowiedni rabat..) powinny mu jednak wystarczyć dziesięć marek na funcie, ale nie trzydzieści odrazu. Im jednak interes kupiecki urządzony jest na większą skalę, tem i ceny są wyższe, aby gość wiedział, że jest w „pierwszorzędnym interesie“. Rzecz się ma tak, jak z niektórymi hotelami krakowskimi, które tytułują „pierwszorzędnymi“ i każą sobie za to odpowiednio płacić, choć są to w pełnem tego słowa znaczeniu nory, jakich nie powstydziłaby się pierwsza lepsza Pipidówka.

W handlu „pierwszorzędnym“ kazano kronikarzowi zapłacić za funt sto sześćdziesiąt marek, w skromniejszym kontentował się właściciel także i skromniejszym zyskiem. Wystarczyło dlań dziesięć marek na funcie.

W innym znów handlu, także „pierwszorzędnym“, paczusia herbaty, która w ubiegłym jeszcze tygodniu kosztowała dwadzieścia pięć marek, podskoczyła nagle na czterdzieści, choć nie pochodzi bynajmniej z nowego transportu, lecz ze starego. Ale przewidujący kupiec, wiedząc o tem, że następna posyłka będzie droższą (choć ceny za granicą spadają...), stara się do tej podwyżki odbiorcę już z góry przygotować. O ile jednak cena jakiegoś towaru się obniży przypadkiem (co należy, niestety, do rzadkości...), nie zapomni o tem, że zapas starego należy wysprzedać po wyższej cenie, bo tak wypada z jego kalkulacyi.

A wobec tych ich praktyk jesteśmy bezsilni i to właśnie dzięki bezsilności lub krótkowzroczności Urzędu walki z lichwą.

To jedno musi się przecież przyznać naszym władzom aprowizacyjnym, że papieru, choć jest taki drogi, na wydawanie rozporządzeń nie żałują. Niestety. rozporządzenia te zostają przeważnie na papierze, ci bowiem, do których są zwrócone, zbyt ich sobie nie biorą do serca, wychodząc z zasady, że papier jest cierpliwy, władza jest od tego, aby zarządzenia wydawała, a oni, aby robili, co się im podoba.

Nawołuje się wprawdzie także i kupującą publiczność, aby i ona stosowała się do postanowień, artykułów niezbędnych do życia nie przepłacała, a o każdem nadużyciu w tym kierunku zawiadamiała władzę. Łatwo to jednak powiedzieć, a nawet wydrukować, daleko trudniej w czyn zamienić. Bez jedzenia nie nauczyliśmy się jeszcze obywać zupełnie choć podobno czynione są w tym kierunku w Warszawie doświadczenia, a z żołądkiem musi się obchodzić każdy bardzo ogłędnie, gdyż on bardzo energicznie upomina się o swe prawa, gotów stale do obstrukcyi, a nawet rewolucyi, gdyby go pokrzywdzono.

Każdy zaś, kto w samej rzeczy chciałby władzę niepokoić donieśieniami o lichwie żywnościowej, musi być na to przygotowany, że potem nikt mu nic nie sprzeda i zginąć musi głodową śmiercią. Coś podobnego dałoby się przeprowadzić tylko w tym wypadku, gdyby cała ludność postępowała solidarnie, ale o to niema obawy. Żołądkowi musi się dogodzić, niech kosztuje, co chce, płaci się też, ile paskarz lub lichwiarz zażąda. Piękny przykład dają w tym kierunku nasi wieśniacy, nie liczący się z groszem, o ile rozchodzi się o zaspokojenie swych potrzeb, o jakich się im dawniej nawet nie śniło. Żadna cena nie jest dla nich za wysoka, znają... koniaczek, dobre cygara, wonne mydełka, zwłaszcza, że za to płaci właściwie ten miejski głodomor, zdany na ich łaskę i niełaskę.

Ale trudno!... Tak być widocznie musi, bo przecież Polska ma być chłopską...



Nowy komendant krak. Okr. Gen.

Na stanowiskach naczelnych w naszej armii zaszły w ostatnich czasach liczne zmiany. Wielu dotychczasowych komendantów przeszło w dobrze zasłużony stan spoczynku, miejsce ich zajęły siły młodsze, a jednak już pięknie zapisane w rocznikach odradzającej się armii narodowej. Do ich rzędu zaliczyć należy nowomianowanego komendanta krakowskiego D O G., jenerała podporucznika Aleksandra Osińskiego, dotychczasowego inspektora piechoty przy Naczelnem Dowództwie.

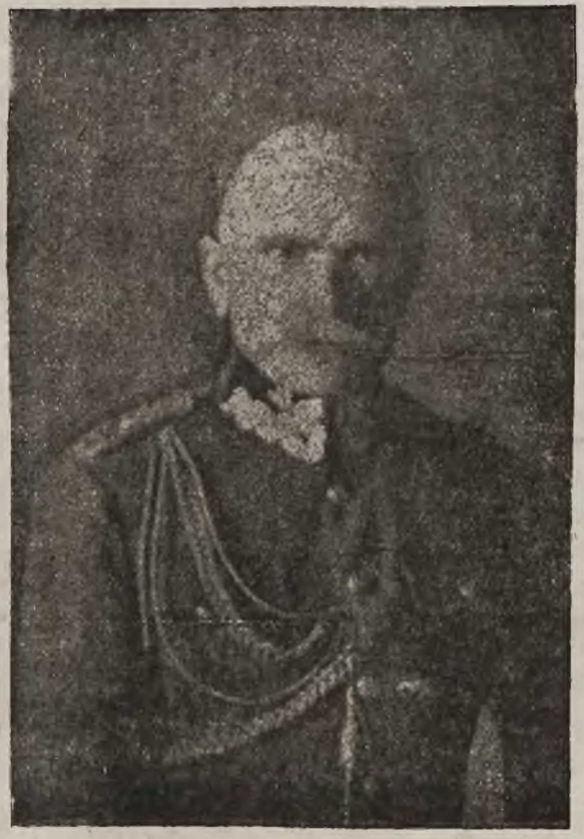
Potomek starej rycerskiej rodziny, odziedziczył te same właściwości charakteru i gorący patryotyzm, którego nawet wyrafinowany system wynarodowiania w szkołach rosyjskich nie zdołał stłumić.

Cała Jego dotychczasowa działalność wojskowa dowodnie o tem świadczy, że wierności Ojczyźnie swej potrafił dochować, że zawsze czujnie stał na straży interesów Polski.

Urodzony w Ziemi kieleckiej, pochodzi ze starej zasłużonej rodziny Wąż Osińskich. Po ukończeniu studyów wojskowych, wstępuje do b. armii rosyjskiej, z którą przebywa kampanię chińską, japońską i całą wojnę światową.

W wojnach tych zostaje pięciokrotnie ranny. W roku 1917 t. j. w okresie stawiania pierwszych podwalin pod budowę odradzającej się Polski, bierze żywy udział w organizacyi wojska polskiego na terenie Rosyi, a po walce pod Kaniowem i rozwiązaniu II. Korpusu jen. Hallera, przedostawszy się pokryjomu do kraju, obejmuje stanowisko dowódcy Okr. Gen. Łódź, na którem rozwija swą pożyteczną działalność, w kierunku sformowania Okręgu i uruchomienia przemysłu łódzkiego.

W końcu lipca roku 1920, jako jeneralny inspektor piechoty, zostaje na własną prośbę oddany do dyspozycyi Naczelnego Dowództwa i wtedy jako komendant 44 dywizyjnej grupy przeprowadza skuteczną ofenzywę wzdłuż linii kolejowej Wilno—Warszawa. Następnie po rozwiązaniu wspomnianej grupy, obejmuje dowództwo swojej 17 dywizyi, z którą rozpoczyna ofenzywę sierpniową w składzie 5 armii, na północny wschód. W trakcie tej ofenzywy, w uznaniu położonych zasług zostaje mianowanym dowódcą I. armii, a dnia 20 października roku 1920, obejmuje dowództwo operacyjnej grupy północnej, działającej przeciwko Litwie kowieńskiej i czasowo sprawuje zastępstwo dowódcy 3 armii, poczem w styczniu r. b. powraca na swoje dawne stanowisko jeneralnego inspektora piechoty przy Wodzu Naczelnym, aż do czasu powołania Go na dowódcę Okręgu Generalnego Kraków.



Nowy komendant krakowskiego Okr. Gen.: Jenerał Aleksander Osiński, dotychczasowy jeneralny insp. piechoty przy N. D.

Pierwszy Kurs współdzielczy.

Dnia 18. stycznia b. r. odbyło się uroczyste zakończenie I. niższego kursu spółdzielczego (dział spożywczy), urządzonego przez Związek Okręgowy Spółdzielni pracowników polskich kolei państwowych przy Akademii Handlowej w Krakowie, który trwał od 15. października u. r. do 15. z. m. a odbywał się w godzinach popołudniowych i wieczornych. Kurs miał za zadanie przygotowanie teorytyczne do praktycznej pracy w Stowarzyszeniach spożywczych, obecnych i przyszłych pracowników tychże, a obejmował w przystępnem skróceniu główne przedmioty wykładu tutejszej szkoły handlowej ze szczególnem uwzględnieniem potrzeb spółdzielni i prelekcye teorytyczno fachowe z dziedziny historyi, zasad i administracyi spółdzielni o połączeniu z poglądem na ustrój państwa i tegoż instytucye ważne dla Stowarzyszeń zarobkowych gospodarczych. Wykładawcami byli chętni profesorowie Akademii Handlowej i prelegenci z koła kooperatystów kolejarzy z Krakowa i Centralnego Związku Spółdzielni kolejowych z Warszawy. Na kurs uczęszczało przez cały przeciąg jego trwania z 29 zapisanych osób 15 słuchaczy i słuchaczek, świadectwa wydano 12 uczniom, a to z ogólnym postępem bardzo dobrym 5, dobrym 2, zadawalającym 2. W tej liczbie było 8 mężczyzn w różnym wieku, w większości kolejarzy, lub pracowników Związku i sklepów spożywczych należących do niego oraz 4 panny, pracownice biur tychże spółdzielni; pozostali mają za swój obowiązek pracować na polu spółdzielni już z samej wdzięczności za bezpłatne korzystanie z kursu. Kurs był zaopatrzony w informacyjno naukową bibliotekę.

Podczas zamknięcia kursu, zakończonego wspólną fotografią przemówił Dyr. Akademii Handlowej p. Kannenberg i dyrektor Związku p. Teodor Kluczka, który był także prelegentem kursu. Słuchacze rozeszli się z pełnem zapału zrozumieniem znaczenia uczciwej i gorliwej pracy spółdzielni dla podniesienia stanu materyalnego i moralnego społeczeństwa pracującego.

Dnia 21 bm. ma się rozpocząć drugi taki kurs, a w przyszłym roku szkolnym kurs wyższy dla lustratorów i kierowników spółdzielni. Kursa te mają zgromadzić słuchaczy zawodowych ze wszech stron.

Zgon prezesa krakowskiej Izby adwokackiej.

Krakowska palestra poniosła świeżo bardzo dotkliwą stratę przez śmierć jednego z najwybitniejszych i najzasłużeńszych swych członków, dra Michała Koya, zmarłego w naszem mieście w dniu 21 lutego b. r.

Schodzi z nim do grobu osobistość ze wszech miar wybitna zażywająca dla wielkich zalet swojego charakteru, powszechnego szacunku i wzięcia w sze-



Pierwszy Kurs współdzielczy: Kierowicy i słuchacze Kursu, urządzonego w Krakowie staraniem Związku Okr. Spółdzielni pracowników polskich kol. państw. Siedzą od lewej ku prawej: Prof. Andrzej Olaf, dyr. Związku Kluczka, prof. Dr Łoziński, instruktor Urhom, prof. Dr Sarna, prof. Dr Wroniowicz.

rokich sferach naszego miasta, a dzięki swej erudycyi prawniczej i prawości, wielkiego zaufania u swoich klientów. Na stanowisku prezesa Izby adwokackiej godnie reprezentował powagę swojego stanu, strzegąc jego honoru i czuwając nad jego interesami zarówno, jak odczuwając płynące stąd obowiązki obywatelskie i narodowe.

S. p. Michał Koy, w młodszych zwłaszcza swoich latach, nie ograniczał się do swoich zajęć zawodowych, spełniając je z właściwą sobie sumiennością



Zgon prezesa krakowskiej Izby adwokackiej: S. p. Dr Michał Koy.

i odczuciem odpowiedzialności moralnej, lecz brał także żywy udział w życiu społecznem. Przez jedną kadencyę zasiadał w krakowskiej Radzie miejskiej, ceniony zawsze dla swojego dojrzałego sądu i wiedzy jurydycznej. Brał też udział w działalności T. S. L., do którego zarządu czas dłuższy należał, zasiadał w wydziale „Sokoła" krakowskiego i wielu innych Towarzystw. Wszystkie sprawy społeczne i narodowe znajdowały u niego wymowne i skuteczne poparcie i orędownictwo.

S. p. dr Michał Koy urodził się w Krakowie 10 września 1853 roku. Tutaj odbył studya prawnicze i w 1885 otworzył kancelaryę adwokacką, za żywającą powszechnego wzięcia i zasłużonego uznania. W roku 1889 powołano go na członka rady dyscyplinarnej Izby adwokackiej, w roku 1901 do wydziału Izby, a w trzy lata później na prezesa Izby, na którem to wybitnem stanowisku pozostawał do śmierci.

Krakowska Izba adwokacka odczuła głęboko zgon swego zacnego, nieodżałowanej pamięci prezesa. Zaraz też, na wiadomość o jego zgonie, zebrała się na posiedzenie żałobne, na którem dla uczczenia jego pamięci uchwalono zawiesić w lokalu Izby portret zmarłego prezesa, wziąć gremialny udział w jego pogrzebie i rodzinie jego złożyć wyrazy szczerego współczucia.

S. p. Michał Koy z pokrewniony był z rodziną pp. Jawornickich i Fischerów, spowinowacony i węzłami towarzyskiemi złączony z domami mieszczańskiemi swojego rodzinnego miasta, w którem całe spędził życie.

Zmarły prezes Izby adwokackiej był bezżennym. W mieście powszechnie znany i szanowany, zrosły niejako z jego tradycyą, zażywał wzięcia i sympatyi w szerokich sferach towarzyskich i społecznych. Zgon jego wywołał też powszechny żal w mieście i odczucie ubytku z grona jego obywateli osobistości wyższej wartości moralnej i społecznej.

Z żałobnej kroniki.

Z szeregu obywatelstwa naszego miasta ubył znowu jeden z tych cichych a sumiennych pracowników, którzy w gorliwem pełnieniu swych zawodowych obowiązków widzą nie tylko zabezpieczenie swej przyszłości, ale interes ogółu mając na oku, przyczyniają się w ten sposób wydatnie do naszego odrodzenia ekonomicznego, które musi iść w parze z odrodzeniem politycznem. Ta skrzętna i owocna praca nie przeszkadza im bynajmniej w żywem braniu udziału w życiu społecznem i chętnem a bezinteresownem pełnieniu obywatelskich obowiązków.

Gorąca miłość Ojczyzny i serdeczne umiłowanie swego zawodu były też dewizą zmarłego w ubiegłym tygodniu w naszem mieście ś. p. Władysława Poturalskiego, właściciela księgarni i drukarni w Podgórzu. Te zasady, którym się nigdy nie sprzeniewierzył dodawały mu energii i otuchy do pracy, jednały mu ogólne uznanie i życzliwość.

S. p. Władysław Poturalski urodził się w r. 1858 we Wrześni w Wielkopolsce, gdzie też rozpoczął naukę. Po ukończeniu studyów średnich w Poznaniu, wstąpił na praktykę księgarską do E. Wendego w Warszawie, skąd przeniósł się do księgarni Altenberga we Lwowie, gdzie przez szereg lat pełnił obowiązki kierownika firmy.

W r. 1890 osiadł na Podgórzu, gdzie otwiera księgarnię, a w rok później i drukarnię. Początek był ciężki, zwłaszcza wobec sąsiedztwa Krakowa, zawodowe wykształcenie, sumienność, gorące zamiłowanie pracy i energia właściciela dopomogły do zwalczenia trudności. Oba zakłady, które śp. Zmarły prowadził osobiście do ostatnich czasów, rozwijały się też pomyślnie z dnia na dzień na chlubę i pożytek naszego przemysłu.

Jako człowiek odznaczał się śp. Poturalski nieskazitelnym charakterem, serdecznością i ujmującem obejściem, które jednało mu coraz liczniejsze grono przyjaciół i życzliwych.

Żmudna praca, którą pojmował seryo, nie zasklepiła go przecież w czterech ścianach księgarni i drukarni. Znalazł zawsze dość czasu na ochocze a sumienne pełnienie obowiązków obywatelskich, czego dał dowód zajmując się żywo sprawami podgórskich towarzystw o charakterze narodowym, w szczególności zaś tamtejszego „Sokoła".

Jako gorący patryota, miłość Ojczyzny stwierdzający czynem, nie słowem, w okresie budzenia się do nowego życia naszej Ojczyzny drukował u siebie zupełnie bezinteresownie wszelkie odezwy, ogłoszenia itp., chcąc bodaj w ten sposób skromny przyłożyć i swą cegiełkę do ogólnej budowy naszej przyszłości.

Zmarł w pełni jeszcze sił i ochoty do pracy, pozostawiając po sobie prawdziwie szczery żal i wspomnienie serdeczne u tych wszystkich, którzy z nim kiedykolwiek bodaj na krótko się zetknęli.



Z żałobnej kroniki: S. p. Władysław Poturalski, właść. księgarni i drukarni w Podgórzu.

Z rosyjskiego piekła.

Za dawniejszych czasów, gdy na tronie rosyjskim zasiadali jeszcze carowie, ta potężna część Europy była tak szczelnie zamknięta przed nami, że z jej głębi do reszty świata przedostawały się tylko bardzo skąpe wiadomości o tem, co się tam dzieje. I dziś gdy dzięki wojennym wypadkom runął tron carski, nie jest inaczej. Forma rządu zmieniła się coprawda, ale nie zmieniły się dawne praktyki. Miejsce „białego cara" zajęli carowie czerwoni, rządzący krajem w sposób niemniej bezwględny, jak to było poprzednio, choć wówczas miało się do czynienia z prawdziwie średniowieczną tyranią, wykonywaną w imię korony przez całe rzesze czynowników, myślących przedewszystkiem o sobie.

Komuniści obejmując ster rządów w swoje ręce, zatrzymali dawne metody, despotyzm i teror szerzy się w dalszym ciągu, z tą jedynie zmianą, że stosuje się go w imię haseł wolnościowych, mających się przyczynić do uszczęśliwienia ludzkości i zaprowadzenia na świecie raju, naturalnie w pojęciu koryfeuszów nowego ruchu Lenina, Trockiego *et consortes*. Oni wydają rozkazy, spełnia je zaś cała rzesza nie dawnych czynowników, ale ludzi, nie różniących się od nich wiele, choćby tylko na punkcie troszczenia się przedewszystkiem o swoje interesy.

Miast, by było lepiej, jest więc gorzej. Dawniejsi czynownicy liczyli się bodaj z wolą i gniewem cara, dzisiejsi władcy Rosyi nie mają nikogo nad sobą, wobec których poczuwaliby się do jakiejkolwiek odpowiedzialności. Najwyższym ich trybunałem jest wprawdzie „wola ludu", ale ten lud, to nikt inny, tylko oni sami.

I dziś, tak jak dawniej, nie wiemy prawie nic o tem, co się dzieje w głębi Rosyi. Wiadomości nadchodzące stamtąd, są tak sprzeczne, tak tendencyjnie podawane, że trudno sobie wyrobić jakie dokładniejsze pojęcie o tem, jak właściwie wygląda dziś Rosya pod rządami „czerwonych carów" i czy reszta Europy ma wzdychać do raju bolszewickiego, czy też być zadowoloną z tego, że dotąd jej nie uszczęśliwił. Ze skąpych wiadomości, jakie się przez granicę przedostają, pewnem jest to tylko, że absolutyzm święci dalej w Rosyi swe tryumfy, a wykonywany jest, nie jak dawniej, przez jednostkę,



Z piekła rosyjskiego: Wybitni członkowie rosyjskiej kolonii w Paryżu z Kiereńskim, Maklakowem, Czernowem i t. d.

lecz przez pewną klikę, która ująwszy ster rządów w swe ręce, nie cofa się przed najbardziej drakońskimi środkami, byle go nie postradać.

Ludzie, mający nie własny swój interes, lecz dobro ogółu na oku, narażeni też byli i są stale na prześladowania ze strony rządu sowieckiego, uznającego za wrogów porządku społecznego tych wszystkich, którzy się z ich hasłami, nie mającemi z prawdziwym porządkiem społecznym nic wspólnego, nie zgadzają. Prawdziwą miłość swego kraju i narodu wielu z nich przepłaciło życiem lub więzieniem, inni dobrowolnym wygnaniem na obczyznę, gdzie nie przestają nad obmyślaniem środków ratunku, mających na celu wybawienia ojczyzny od ostatecznego upadku. W Berlinie w Wiedniu, głównie zaś w Paryżu zebrali się najwybitniejsi przedstawiciele rosyjskiego społeczeństwa, wrogo wobec wobec bolszewików usposobieni, nieszczędząc trudów i zabiegów, aby Europie otworzyć oczy na niebezpieczeństwo, jakie jej grozi ze strony przywódców nowego ruchu którzy, własny kraj doprowadzili do ruiny i nie kryjąc się z tem bynajmniej, to samo przygotowują i dla reszty świata. A wróg to tem niebezpieczniejszy, że działający bytrze a skrycie i nie przebierający w środkach.

Głosy paryskich przedstawicieli społeczeństwa rosyjskiego, należących do wszystkich partyj politycznych, powinny się stać dla Europy groźnem *memento*.

Nadesłane.

Już wyszedł pierwszy zeszyt Biblioteki Nowości p. t.

„Józia — legionistką“.

W ostatnich czasach daje się u nas odczuwać silnie brak dobrych, popularnych książek które w formie belletrystycznych opowiadań przedstawiałyby barwnie i zajmująco wypadki współczesnego życia, tak bystrą obecnie toczących się falą. Żołnierz polski stał się ukochaniem społeczeństwa, ku niemu zwracają się wszystkie patryotycznie czujące serca. Każdy chciałby dowiedzieć się czegoś o tych żołnierzykach naszych, każdy myślą złączyć się z nimi, przeczytać w jesienny czy zimowy wieczór coś o ich przygodach na froncie bojowym, na kwaterze, na urlopie, nanizać jasnej perły bohaterstwa na jedną nitkę z koralami czerwonemi jak róże mira z błyszczącymi paciorkami żartu i humoru.— Wydawnictwo „Biblioteka Nowości“ ma wypełnić tę lukę, a chcąc dawać społeczeństwu rzeczy prawdziwie wartościowe, zaprosiło do współpracownictwa wybitne pióra autorskie. Jako pierwszy zeszyt ukaże się pełne wdzięku opowiadanie p. t.: „Józia — legionistką“.

Cena egzempl. 15 mrk., z przes. poczt. 17 mrk. Zamówienia przyjmuje Administr. „Nowości Illustrowanych“, Kraków XV, Kazimierza Wielkiego 95

Od Redakcyi.

Zwracamy uwagę P. T. Czytelników, że jedynie ci są uprawnieni do ubiegania się o nagrody, którzy nadeślą rozwiązania wszystkich zagadek.

Zagadki do nagrody.

Trójkąt magiczny.

Ułożył S. S., Lwów.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby w szeregach poziomych powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy i poziomy poda nazwę pewnego dnia w roku:

■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■
■ — — — — — — —
■ — — — — — —
■ — — — — —
■ — — — —
■ — — —
■ — —
■ —
■

Znaczenie wyrazów: 1. Szukany wyraz, 2. Rzeka w Ameryce, 3. ...aństwo w Europie, 4. Kopalnia rtęci w Krainie, 5. Wulkan w Europie, 6. Miejscowość w Belgii, 7. Francuski ród książęcy, 8. Spółgłoska.

Zadanie do uzupełnienia.

Ułożył J. Swierk, Lwów.

Uzupełnić podane wyrazy. Litery, wstawione w miejsce kresek, czytane z góry na dół, podadzą nazwę jednej ze stolic:

— aza
— pis
— ola
— ata
— ard
— ota
— ama
— oga
— pal
— ero

Zagadka literacka.

Ułożył K. R., Sandomierz.

Odgadnąć tytuły utworów podanych pisarzy. Początkowe ich głoski, czytane z góry na dół, utworzą tytuł arcydzieła polskiej baletrystyki:

Mickiewicz ?
..raszewski ?
Kochanowski ?
..ochanowski ?
Orzeszkowa ?

REBUS.



Logogryf.

Ułożył K. Balicki, Lwów.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Rząd środkowy, czytany z góry na dół. poda nazwę pewnego okresu czasu:

■
— ■ —
— — ■ — —
— — ■ — —
— — ■ — —
— — ■ — —
— — ■ — —
— — ■ — —
— ■ —
■

Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska, 2. Rzeka w Afryce, 3. Wyspa na morzu Śródziemnem, 4. Miasto w Czechach, 5. Część ciała, 6. Ryba, 7 Roślina ogrodowa, używana jako przyprawa, 8. Narzędzie rolnicze, 9. Owad, 10. Spółgłoska.

Okienko.

Ułożył S. K., Jordanów.

Z podanych liter ułożyć trzy wyrazy, równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym:

a a a a e
e f f
f f i i j
k k k
m o o r r

Znaczenie wyrazów: 1. Jeden z członków rosyjskiej delegacyi pokojowej, 2. Kuglarz indyjski, 3. Rodzaj zastawy.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania dwie nagrody: 1). „Graf Rak“ (powieść); 2) kalendarz familijny na r. 1921.

Rozwiązanie zagadek z Nru 7.

Zadanie do uzupełnienia: Bosak, akacya, Rawa, arka, Loara.

Przysłowiówka: 1) Strach ma wielkie oczy, 2) Kiedy trwoga, to do Boga.

Rebus: Nie trzeba dopuszczać, ażeby na drodze przyjaźni trawa wyrosła.

Kwadrat magiczny: Nota, Omar, tara, arak.

Okienko: Sedan, Dante, Noemi.

Dobre rozwiązania nadesłali pp.: R. Zielińska Poznań, W. Zubicka Warszawa, M. Jasińska Lwów, M. Gross Tarnów, M. Ostrowska Lwów, K. Zieliński Zalesie, M Antosz Lwów, J. Martynowicz Lwów, H. Galińska Tarnów, W. Rozwadowski Poznań, M. Wacyk Lwów, M. Więckowski Warszawa, E. Darowska Warszawa, J. Orzechowski Stryj, J. Wierzbicki Piotrków. K. Grzybowski Kraków S. Zajączkowski Rzeszów. J. Opolski Łódź, S. Piekarski Poznań, M. Wysocka Jasło, M. Wożniakowski Warszawa, W. Lange Toruń, J. Kalinowski Poznań, K. Dębicki Sambor, S. Marzec Krasne. M. Mańkowska Warszawa, K. Wacławik Łódź, S. Balicki Radom, W. Raczyński Kraków. K. Borkowski Kraków, W. Śmieszek Lublin, M. Ogibińska Nowy Sącz, K. Dębiński Jasło, H. Samocka Stanisławów, W. Switowska Warszawa, J. Nowak Sandomierz, M. Waszkiewicz Lwów, K. Radziszewski Warszawa, H. Waligórski Tarnów, M. Kwiatkowska Warszawa, H. Maciejowski Winnica, H. Malinowska Rzeczyce, W. Dutkiewicz Przemyśl, J. Bielawski Rzeszów, J. Jabłoński Lublin, Z. Zawadzki Wadowice, S. Zaączkowski Poznań, S. Sokołowski Lwów, S. Zakrzewski Sandomierz, S Sygowska Rzeszów, S. Grabowski Wadowice, H. Walewska Kraków, J. Martynowicz Kraków.

Nagrody przez losowanie otrzymali: 1) R. Zielińska, Poznań (książka), 2) S. Marzec, Krasne (Kalendarz). Upraszamy o nadesłanie należytości na koszta poleconej przesyłki nagrody.

Pióra boa fantazyjne

kwiaty sztuczne

poleca hurtownie i detalicznie

Wincentyna Górska

w Krakowie, Floryańska 18.

Czy chcesz poznać swój charakter, jego dodatnie i ujemne strony, przeznaczenie, skłonności i zdolności, co czynić, jak postępować, aby osiągnąć powodzenie? Przyślijcie charakter pisma swój, lub zainteresowanej osoby, zakomunikujcie rok i miesiąc urodzenia, z ilu osób składa się najbliższa rodzina: na tych danych otrzymacie od uczonego psychografologa SZYLLERA-SZKOLNIKA (autora prac naukowych) listem poleconym naukową, szczegółową analizę charakteru, określenie ważniejszych zdarzeń życiowych. Odpowiedzi na szczerze zadane pytania. Cenne rady i wskazówki. Praca naukowa p. Szyllera-Szkolnika zaszczycona mnóstwem odezw i podziękowań w poczytnych pismach krajowych i zagranicznych. Analizę wysyła się po otrzymaniu Mrk stu. Jeżeli wziąć pod uwagę, że wykonanie analizy wymaga kilku godzin poważnej umysłowej pracy, koszty ogłoszeń, pocztowe itp., wyżej oznaczona suma nie może wydawać się zbyt wysoką. Adres: **Warszawa, Psycho-Grafolog SZYLLER-SZKOLNIK, ul. Piękna 26a.** Wątpiącym wskazówki i dowody wysyła się bezpłatnie.

Wielkie korzyści

PP. Kupcom i Przemysłowcom

przynosi

abonowanie poniżej wymienionych w całej Polsce znanych i jedynych pism fachowych:

Tygodnik	„Kupiec“	prenumerata kwart.	M. 28 —
„	„Drogerzysta“	„ „	28·—
„	„Przegląd Włóknisty“	„	28·—
Im „	„Dom gościnny“	„ „	9·—

Zeszyty próbne wysyłamy za nadesłaniem

2 Marek.

Adres zamówień:

POZNAŃ, UL. WIELKA 13.

Istniejący od lat dwudziestu

Handlowo-przemysłowy Związek katol. krawców

Stowarz. zarej. z ogran. poręką.

w Krakowie, Floryańska 7.

przyjmuje zamówienia na ubrania męskie podług miary, z własnego lub powierzonego materyału. Obsługa rzetelna, terminowa. — Suknie dla Przew. Duchowieństwa sporządzają fachowi specyaliści. Sprzedaż materiałów na kostyumy męskie i na damskie.

NAJNOWSZE ŻURNALE MOD

na sezon wiosenny i letni już nadeszły do firmy

M. LANDAU, Kraków, Krzyża 5.

Sprzedaż częściowa i hurtowna. Tamże manekiny krawieckie.

MROZAN

Oddawna wypróbowany

najlepszy i najskuteczniejszy

środek przeciw odmrożeniu

Do nabycia w wszystkich drogeriach i aptekach.

Fabryka chemiczna „ROWA“ Tczew (Pomorze).

Drukarnia D. E. Friedleina

w Krakowie, ul. Kazimierza W. 95., Tel. 479

zaopatrzona jest w wielką ilość czcionek różnego kroju i maszyny pospieszne. Wykonywa wszelkie roboty w zakres drukarstwa wchodzące: broszury, cenniki, katalogi, cyrkularze, afisze, tabele i t. p. szybko i starannie, po cenach umiarkowanych.

„HUMOR POLSKI“

Dwutygodnik humorystyczny polityczno-satyryczny

Do nabycia w całej Polsce

Cena egz. 7 Mk.

„BOCIAN“

Dwutygodnik humorystyczny

Do nabycia we wszystkich Ajencyach

Cena egz. 10 Marek

Adres Redakcyi i Administracyi

Kraków XV, ulica Kazimierza Wielkiego l. 95.

W Administracyi Nowości Illustrowanych

jest do nabycia

Księga pamiątkowa wielkiej wojny.

(Kalendarz z 1914-15-16 roku).

Cena 30 Marek polskich.

GONIEC KRAKOWSKI

Wielkie pismo codzienne o bardzo bogatym dziale politycznym, społecznym i gospodarczym, referowany przez pierwszorzędne pióra polityczne.

Zamieszcza najświeższe informacye telefoniczne i telegraficzne. Posiada doskonale zorganizowaną sieć własnych korespondentów.

Przynosi: najświeższe informacye z kraju i zagranicy, w szczególności handlowe i giełdowe, wszelkie projekty Rządu i Sejmu na polu gospodarczem, oraz wszelkie zarządzenia Władz w tej dziedzinie, omawiając je szczegółowo i krytycznie.

Obfitą i wyborową treść uzupełnia nadto dział: naukowy, wojskowy, literacki i artystyczny. Doskonałe migawki humorystyczne, dział szaradowy (co drugą niedzielę 6 cennych nagród), dział mód, wyborne powieści i. t. d.

DZIAŁ OGŁOSZEŃ

zapewnia inserentom pierwszorzędne korzyści.

Do nabycia na całym obszarze Rzeczypospolitej. — Na żądanie wysyła się numery okazowe.

KOŁDRY PUCHOWE NA WACIE

robi nowe i przerabia stare z materyału swego i dostarczonego

JEDYNA KATOLICKA PRACOWNIA WYROBÓW POŚCIELOWYCH

M. MATUSIEWICZA

w Krakowie, ul. Poselska 20.

ADMINISTRACYA Nowości Illustrow. odsprzedaje klisze cynkowe z każdego numeru po połowie ceny własnych kosztów.

PRZEMYSŁOWCY! PRZEMYSŁOWCY!

IMPORT & EKSPORT

Towarzystwo Handlowe Imigracyi Stanów Zjednoczonych Ameryki

ma wielki zbyt na towary polskiego wyrobu. Również zamówienia z kraju uskutecznia bezzwłocznie. Piszcie lub telegrafujcie do IMMIGRANT COMMERCE ASSOCIATION

L. A. Prosiński,
Prezydent.
1878 Broadway

Adres telegraficzny: „IMMCON BUFFALO“.

Wszelkie poszukiwania i informacye załatwia się natychmiast.

W. J. Bukowski,
Vice-Prezydent.
Buffalo, N. Y. U. S. A.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: Julian Bartoszewicz. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina pod zarz. St. Karczmarskiego.